

# Głuchowska, Stefania

---

## Lata II wojny światowej i okupacji w Sierpcu : (wspomnienie)

---

Notatki Płockie 38/1-154, 20-24

---

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# LATA II WOJNY ŚWIATOWEJ I OKUPACJI W SIERPCEU

(wspomnienie)

"Ludzie ludzom zgotowali ten los"

Z. Nalkowska "Medaliony"

Każdy kraj, region, miasto czy wieś ma własną niepowtarzalną historię, swoisty krajobraz, zwyczaje i tradycje oraz właściwe dla danego narodu i środowiska przeżycia.

Aby ocalić od zapomnienia to, co zakodowane zostało w mojej pamięci, pragnę w skrócie o tym opowiedzieć. Moje spostrzeżenia dotyczą zmian, jakie zaszły w mieście, ważniejszych wydarzeń i ludzi.

Nie urodziłam się w Sierpcu, ale jak tylko sięgam pamięcią, zawsze w tym mieście mieszkałam. Kolejne adresy do 1939 r. to: ul. Płocka, Żwirki i Wigury, Górna, Podgórna, Włoki-Piaski, Nowy Rynek 22 (dziś pl. Szopena). Naukę rozpoczęłam w Publicznej Szkole Powszechnej stopnia III Nr 1 im. Adama Mickiewicza w 1937/38, gdzie kierownikiem był p. Jan Wierzbowski. Do wojny ukończyłam 2 klasy.

Ważnym wydarzeniem w skali kraju, jakie utrwaliło mi się w pamięci przed wybuchem wojny był oglądany na kronice filmowej pogrzeb Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Wielką uroczystością dla miasta, w której uczestniczyłam, było otwarcie linii kolejowej łączącej Płock z Brodnicą.

W ostatnim okresie niemalą atrakcją dla mieszkańców stał się pobyt gen. Władysława Andersa w mieście. Na Czalpinie, w domu prof. Lucjalna Graczykowskiego, stacjonowało wojsko, a na targowicy przy ul. Lisa Kuli /dziś plac MPGKiM/ odbywały się zawody jeździeckie.

Ostatni raz Żydzi obchodzili swoje święto, które zwano "kuczkami". Cały Nowy Rynek zastawiony był drewnianymi budkami, w których odprawiali swoje modły.

Ostatni też raz niezamożne polskie dzieci korzystały w wakacje z półkolonii, które odbywały się w pałacyku w Studzieńcu. Jedną z organizatorek była dh. Stanisława Cichewicz.

Życie toczyło się spokojnie, dla jednych bardziej, dla innych mniej szczęśliwie. Panowała ogólna życiowość, mimo widocznej na każdym kroku biedy obok zamożności.

Lato 1939 r. było piękne i gorące. Drzewa uginały się pod ciężarem owoców. Któregoś z ostatnich dni sierpnia nagle zawył syrena na Ratuszu. W chwilę potem Stary Rynek zapelniał się ludźmi. Na balkon Ratusza wyszedł burmistrz i inni pracownicy. Prze-

mawiając do tłumu, oświadczył, że będzie wojna. Odpowiedział mu powszechny płacz kobiet i głośny lament zgromadzonych w tłumie Żydówek.

Potem były próbne naloty. Uciekaliśmy do przygotowanych schronów np. na Nowym Rynku pod sklepem spożywczym nr 1/(pl. Szopena). A kiedy przez jedyne radio w kamienicy powiedziano, że wojna się już rozpoczęła, mieszkańcy zaczęli się pakować i uciekać za Wisłę, niektórzy tylko do krewnych na wieś.

Moja rodzina załadowała na ręczny wózek dwukołowy niezbędne rzeczy i ruszyliśmy o świcie w kierunku Płocka. Nie miałam skończonych jeszcze 10 lat. Te 23 km pod Bielsk przeszliśmy w ciągu jednego dnia. Co pewien czas rzucaliśmy się do rowu, gdy nad głową ukazywał się samolot i zniżając się siał kulami z karabinu maszynowego. A słońce prażyło dokuczliwie. Gdziekolwiek zatrzymaliśmy się po drodze, aby odpocząć w jakiś dworzec czy większym gospodarstwie - odsyłano nas, ponieważ były już tam tłumy ludzi, wozów i koni. Przez tydzień mieszkaliśmy w Jonczewie Jeziornym.

Wracaliśmy razem z uciekinierami z Grudziądza. Na szosie posterunki niemieckie rewidowały mężczyzn, kontrolowały wozy, na których siedziały dzieci. Mijaliśmy obwieszane owocami sady, spalone domy i głębokie leje po bombach.

W mieście dowiedzieliśmy się, że na dworzec spadły pojedyncze bomby. Budynek nie uszkodziły, ale zginęło kilkoro ludzi. Jakiś pocisk trafił też w szpital, nie wyrządzając większej szkody.

Żołnierze niemieccy rozbijali pozamykane żydowskie sklepiki, asystowały im przy tym tłumy dzieciaków, a resztki grabili co "śmielsi" mieszcianie.

Zaczęła się okupacja. Z kamienicy p. Franciszka Czajkowskiego Nowy Rynek 22, dziś /pl. Szopena 22/ mieszkańców wysiedlono lub wywieziono w Lubelskie z walizką w rękę, a na ich miejsce zasiedlono Niemców. Zostawiono moją rodzinę, ktoś musiał przecież sprzątać podwórze. Mnie Niemka wzięła do bawienia dwuletniego synka Harrego Lidtkę /?/. Moimi bombkami ubrała mu choinkę. Nie chciałam ich dać /miałam już wtedy pełne 10 lat/. Matka wytłumaczyła mi, że jest wojna, żaloba w całym kraju i choinki w domu naszym nie będzie.

Niemcy rozpoczęli swoje urzędowanie. Policja

mieściła się w dzisiejszym budynku na ul. Narutowicza, (dawniej Stodólna), a dzielnicowy posterunek był na ul. Kilińskiego /w domu p. Bugaja/. W kamienicy p. Stanisława Wenderlicha /dziś skrzyżowanie ulic Armii Krajowej i Jana Pawła II, a dawniej Limanowskiego /gospodarzyło gestapo. Włosy stały na głowie ludziom, którzy przechodzili tamtędy, od krzyku uwięzionych. Bito trzy razy dziennie po 50 batów, a jeśli ktoś się pomylił w liczeniu, dostawał od nowa. Tę karę wymierzano za to, że było się Polakiem, nie miał ktoś karty pracy, nie uklonił się żandarmowi na ulicy lub handlował nielegalnie żywnością czy bimbrem. Przez tydzień siedział tu mój brat. Wrócił, a jego plecy były jedną wielką raną. Zwolniony został po wpłaceniu kaucji 250 marek /pożyczonych lub darowanych przez znajomych/.

Tę łaskę Niemcy wyświadczyli tylko dlatego, że wstawił się za bratem p. Bolesław Wierzbicki - stolarz, któremu gestapowcy zlecieli wyrzeźbienie swastyki na dzisiejszy Dom Kultury. Ponieważ z wykonanej pracy byli zadowoleni, obiecali nagrodę. Tą nagrodą stało się ocalenie mojego brata - Jana Stawickiego, bo stamtąd nikt nie wracał. Ze strony p. Wierzbickiego był to gest ludzkiej życzliwości.

Inne urzędy - np. Arbeitsamt, dający zatrudnienie wszystkim, mieścił się przy ul. Płockiej. Jakieś urzędy były też w gmachu Starostwa przy parku. Sprawował tu władzę "Landrat". W zabudowaniach klasztornych było nadal więzienie, tylko że już niemieckie dla Polaków.

Nowe porządki zaczęli Niemcy od Żydów. Jednego wieczoru Niemcy podpalił żydowską synagogę na Ostrówku /dziś ogród jordanowski w pobliżu stacji CPN/. Iskry strzelały w górę, płomienie objęły w jednej chwili cały budynek. Snopy dymu zasłoniły całą dzielnicę miasta. W drugiej mniejszej bóżnicy urządzili przejściowy obóz dla Polaków, aresztowanych z byle powodu. Wszy zjadały żywcem więzionych. Siedział tu przez pewien czas mój brat.

Żydów, którzy nie zdołali uciec i pozostali w mieście, zebrano razem na łąkach za Farą. Stworzono tam rodzaj getta. Dano im opaski z żółtą gwiazdą. Pędzono ich brzegiem jezdnii do pracy, a po pewnym czasie wywieziono w ogóle. Pomieszczenie za Farą zamieniono na łaźnię dla Polaków, których wywożono do Niemiec na roboty. Przed wyjazdem obcinano polskim dziewczętom warkocz, a jeśli włosy były brudne golono głowę.

Wprowadzono godzinę policyjną od 6<sup>00</sup> do 21<sup>00</sup> latem i od 6<sup>00</sup> do 19<sup>00</sup> zimą. Nocą należało mieć przepustkę. Korzystali z niej strażacy i pracujący na nocnej zmianie np. kolejarze. Okna należało zasłaniać czarnym papierem. Za niedopełnienie tego obowiązku stosowane były surowe kary.

Wprowadzono kartki na żywność i środki piorące. W sklepach były wyznaczone oddzielne kontuary dla Polaków i dla Niemców lub sklepy tylko dla Niemców. Na pocztę, którą przeniesiono z ul. Płockiej 1 /pod górką/ dalej pod nr 33, były oddzielne okienka dla Niemców i dla Polaków.

Aby pochwalić się sukcesami na frontach, Niemcy pozwolili Polakom chodzić do kina, które teraz mieściło się tylko w "Domu Katolickim" koło kościoła Św. Ducha, ale szanujący się obywatele nie korzystali z tego przywileju. Kino p. Wincentego Czajkowskiego przy Nowym Rynku 22 zamieniono na jakiś magazyn.

Wiosną 1940 r. wezwano wszystkie dzieci w wieku szkolnym na plac koło kościoła niemieckiego /dziś Maksymiliana Kolbe/. Moja Niemka chciała mnie u siebie zatrzymać, ale ja chciałam dzielić los polskich dzieci. Sądziłam, że rozpoczną się lekcje. Niestety, spisano nas i podzielono na grupy. Pod opieką nauczycieli zbieraliśmy po polach kamienie. Mnie przydzielono do grupy p. prof. Zofii Gałęskiej, inną grupę miała p. Anna Switalska - moja przedwojenna nauczycielka z kl. I i II, trzecią grupę miał p. Niesiołowski, niestety innych nie pamiętam.

W szkole nr 1 mieścił się szpital wojskowy, w szkole nr 2 przy ul. Piastowskiej - tzw. "Espera" czyli fabryczka oficjalnie wag, a naprawdę głowic do samolotów. W kościele Św. Ducha był skład mebli pożydowskich, a w Farze - spichlerz zbożowy. Dla Polaków został kościół klasztorny, do którego z lękiem w niedzielę podążano. Ksiądz zmuszony był ogłaszać niemieckie zarządzenia: oddać wszystkie książki, oddać naczyńia z kolorowych metali, oddać kożuchy, aparaty radiowe i telefoniczne. Zabrano wszystkie dzwony kościelne, żeby przetopić na armaty. Rozebrano parkan przy Farze, żeby wybrukować drogi. Wywieziono księży.

Niezapomniany widok przedstawiał stos polskich książek płonący przed Ratuszem.

Niemieckie dzieci uczyły się w pożydowskim "Tarcucie". Tak nazywano nowo wybudowaną przed wojną szkołę dla Żydów przy ul. Stodólnej /dziś Narutowicza/.

Polskie dzieci, które nie pracowały, a zarejestrowane były jako pracujące w ojcowskich warsztatach rzemieślniczych czy gospodarstwach, potajemnie się uczyły. Długoletni nauczyciel szkoły Nr 1, Stanisław Kopyro, napisał "Elementarz", który wydrukowano w niemieckiej drukarni Horna przy ul. Płockiej. Zecerem był p. Józef Mroczyński, a magazynierem materiałów piśmienniczych - Leon Bramczewski. Pierwsze matury zdawano na plebanii przy kościele klasztornym i w młynie p. Kłobukowskiego koło szpitala. Tajnym nauczaniem m.in. zajmowała się p. prof. Zofia Gałęska. Wielu nauczycieli ukrywało się w okolicznych wsiach i tam uczyli np. p. Jadwiga Kłodziejska /długoletnia nauczycielka szkoły nr 1/ w Borowie pod Rościszewem.

Pewnego dnia rozeszła się po mieście wieść, że na stacji stoi transport dzieci do gazu. Kolejarze apelowali, żeby zabierać je i ratować. Pamiętam, że przez całą wojnę u p. Kłobukowskiego w młynie, u dr Feliksa Pokutyńskiego na Stodólnej oraz na ul. 3 Maja pod klasztorem mieszkały m.in. uratowane dziewczynki.

W roku 1941, kiedy wszystkie kamienie zostały

wy wybierane z pól, młodsze dzieci zbierały zioła dla apteki, a starsze pracowały w ogrodzie miejskim /wejście od ul. Piastowskiej - dziś osiedle Jana Pawła II/. Praca w ogrodzie odbywała się cały dzień z przerwą obiadową. Dziewczą pilnowała Krystyna Siemińska, a chłopców młodzieniec przezywany "kogutem" ze względu na wysoki wzrost. Kierownikiem był Niemiec przezywany przez nas "Kapułuśnikiem". Praca polegała na pielieniu, pikowaniu, dostarczaniu warzyw do sklepu. W każdą sobotę grupa szła wygrabiąć ścieżki nad "jeziórkiem", na skwerku /przed dziesiętą pocztą/ oraz w parku, gdzie w wolnych chwilach spacerowali Niemcy.

Wielką udręką było pielienie rynku, który był, jak większość ulic, wybrukowany kamieniami polnymi tzw. "kocie lby". W miejscach mniej używanych zarastał "świętą trawą". Każde dziecko łyżką starało się spomiędzy kamieni wydobyc roślinę, która głęboko trzymała się twardym, mocnym korzonkiem. Skóra na palcach ścierała się do krwi. Niemili też zajęciem było pielienie "czarnuszki", która wysiana była w "szkółce" między drzewkami. Plantacja znajdowała się przy szosie warszawskiej /na tym miejscu obecnie pobudowano pawilon handlowy z artykułami spożywczymi/. Jesienią i zimą w lodowni przy ul. Stodólnej /Narutowicza - dziś schody prowadzące w dół do parku/ kisiliśmy kapustę, robiliśmy pickle, przebieraliśmy warzywa itp. Pracowali w ogrodzie ze mną p. Jan Trębiński, p. Halina Hęsiak, Krystyna Świerczyńska i wiele, wiele innych osób.

W mieście było już więcej Niemców, bo przyjeżdżali też z Reichu /poprzednio tylko z Pomorza i Prus Wschodnich/. Ziemia Sierpecka została włączona do Rzeszy, tak jak inne ziemie północne i zachodnie. Panowały tu inne niż w Generalnej Guberni prawa i obyczaje. Miasto nazywało się Sichelberg.

Niemcy wybudowali polskimi rękami bloki przy dzisiejszej ul. Armii Krajowej oraz wytyczyli tę ulicę i połączyli z Piastowską odcinkiem obecnej ul. Wiosny Ludów.

Zajęli w całym mieście lepsze mieszkania, a Polaków przesiedlali na Włóki. Tak znaleźliśmy się na ul. Kilińskiego 33 /niemiecka nazwa Hohestrasse/ naprzeciwko posterunku żandarmierii, a obok było niemieckie przedszkole.

Prócz wyżej wymienionych bloków Niemcy wykończyli lub przebudowali na swój styl niektóre nauczycielskie domy przy ul. Tułdzieckiego oraz dali tej ulicy twardą nawierzchnię. Wykończyli także rozpoczętą przed wojną budowę dzisiejszego Domu Kultury, nadając mu obecny kształt.

Ponieważ zabudowa miasta była w większości drewniana i bardzo często należała do Żydów, budynki te zostały już wcześniej zburzone. Tak było na odcinku od Ratusza do obecnej księgarni, na rogu przy Farze, na ul. Żabiej (dziś Księcia Waława) i w wielu miejscach miasta. Nad rzeką zburzona została żydowska "mykwa" /łaźnia/ i zabudowania "rzezaka", do którego Żydzi przynosili drób do rytualnego

zabicia /ul. Podgórna/. Ażeby usprawnić ruch pomiędzy rynkami, Niemcy kazali rozebrać domy i wytyczyli obecną ul. Zieloną /taxi/.

Kiedy zaczęła szerzyć się epidemia tyfusu, pobudowano mały szpital zakaźny i obecną ulicę do niego prowadzącą.

Swoisty urok i znaczenie dla miasta miały przydrożne kapliczki. Zgroza ogarnęła ludzi, gdy jednej nocy Niemcy wszystkie zniszczyli. Kapliczka Św. Jana znajdowała się na moście pod klasztorem, inna na Czalpinie w kępie bżów przy mleczarni /na zakręcie ulicy/, w rozwidleniu drogi Bojanowskiej i Żeromskiego oraz wiele innych. Ocalała tylko kapliczka na łąkach zwana "Studzianką", ale także została zdewastowana i wszystko, co się w niej znajdowało zostało wrzucone do wody. Zburzono bryłę pomnika Powstańców Styczniowych u zbiegu szosy lipnowskiej i rypińskiej.

Zastraszenie było jedną z metod niemieckich. Wstrząsającym wydarzeniem była egzekucja na "Glinkach" /za szpitalem/, gdzie 42 więźniów rozstrzelano, tylko p. Kazimierzowi Rzeszotarskiemu udało się zbiec. Całe miasto musiało uczestniczyć w tej egzekucji, wszystkich z ulicy zapędzono na miejsce kaźni jako widzów. Oficjalnie wiedziano o podobnej egzekucji przez powieszenie w Rościszewie, a nieoficjalnie nocami wywożono chorych, starych, niezdolnych do pracy fizycznej i rozstrzeliwano w okolicznych lasach - np. na Trosce. Jeszcze po skończonej wojnie można było dostrzec ślady zasypanych rowów, na których ziemia zarywała się pod stopami.

Nie oszczędzano też dzieci. Kiedy kierownik ogrodu miejskiego zaobserwował 2 dziewczyny biegające zamiast wykonywania pracy, na wieczornym apelu wymierzył kijem chłostę większości dzieciom. Bił dopóki się nie zmęczył, a opiekunów na początku spoliczkował.

Po tym incydencie moja matka poprosiła miejscowego Niemca, właściciela tzw. "Kasztelanki", Adama Lejogo, żeby wziął mnie do siebie do pracy. Żądał solidnej roboty, ale nigdy nikogo nie skrzywdził. Przeciwnie bronił swoich ludzi przed wywózką na okopy, kiedy front zaczął się cofać. Byłam świadkiem, sprzątając pokoje, jak załatwiał zwolnienie swoich ludzi z Niemcem zajmującym się wysyłką Polaków do kopania okopów. Mój mąż, starszy ode mnie o półtora roku, jako chłopiec wysłany był w okolice Olsztyna, skąd uciekł.

Pieląc warzywa w ogrodzie Lejogo przy ul. Kilińskiego /dziś stoją tu domki kwaterunkowe/, obserwowaliśmy ukradkiem lecące eskadry samolotów i czerwone luno na niebie w kierunku Warszawy. Miałam wówczas niecałe 15 lat, ale życie zmuszało każdego być już dorosłym i wiele rozumieć. Mówiono wówczas, że płonie walcząca Warszawa. W rozmowach dorosłych czasami padało słowo - Katyń, ale wówczas nie wiedziałam, co to znaczy.

Stykałam się tylko z partyzantami polskimi, potem też radzieckimi, ponieważ nasz sąsiad, Herman Joń-



ski, był komendantem AL na miasto. Schodzili się różni partyzanci, choć naprzeciwko był posterunek żandarmerii niemieckiej. I tylko szybkiemu refleksowi p. Bronisławy Jońskiej, żony partyzanta, zawdzięczamy, że nie zginęliśmy wszyscy. W pokoju leżał ranny i byli partyzanci. Kiedy 2 żandarmów uchyliło drzwi do kuchni, zaczęła wołać: "krank-tyfus"! Niemcy się wycofali. Przyszli zapewne w jakiejś blażej sprawie, sprawdzić czystość na podwórzu czy coś podobnego.

Z rozmów dorosłych wiedziałam także o AK. Za przynależność została aresztowana i stracona żona mojego chrzesnego - Helena Filipowska, właścicielka pralni chemicznej przy. ul. Piastowskiej. Każdy musiał być gdzieś zatrudniony. Wiele kobiet pracowało w gęsiarni. Niektórzy się ukrywali i byli narażeni w każdej chwili na aresztowanie. Ażeby przeżyć, ludzie nielegalnie handlowali żywnością. Można było też uzyskać pozwolenie na ubój, jeśli się zakontraktowało jakąś sztukę. Powszechnie hodowano króliki i kozy.

Kłopoty były z ubraniem i obuwiem. Latem było łatwiej, bo nasz sąsiad p. Ablewski był producentem sandałów na drewnianej podeszwie, /tzw. treпки/. Gorzej było w zimie. Odmroziłam wszystkie palce u nóg, chodząc w tekstylnym obuwiu. Swetry wyrabiano ręcznie ze sprutych worków, które miały sploty ze sztucznego włókna i nitek papierowych. Pracując nie uczyłam się w ogóle. Nawet tabliczkę mnożenia częściowo zapomniałam. Ćwiczeniem w pisaniu były listy do rodziny i do siostry partyzanta - Jadzi Jońskiej, zesłanej na roboty w okolicy Królówca. Oglądanie rycin i odczytywanie podpisów w książkach, cudem ocalonych przez mojego brata, było wprawkami w czytaniu. Jako strażak i elektryk miał przepustkę i pod osłoną nocy przeniósł 6 tomów "Historii literatury" i 3 tomy "Encyklopedii". Przechowywaliśmy je na strychu pod podłogą, a czasem wieczorem, szczególnie zimą, znosiło się jeden tom i kolejno oglądało. Był tam portrecik Marli Wereszczakówny, wówczas dla mnie zupełnie obcej. Książki po skończonej wojnie zabrało ORMO i nigdy ich więcej nie widziałam. Nie spotkałam ich w żadnej bibliotece.

We znaki dała się wszystkim jedna z ostatnich zim, mroźna i śnieżna. Z całej ulicy Kilńskiego wszyscy dorośli mieszkańcy musieli iść na tzw. szarwark do odśnieżania szosy, która wyglądała jak tunel bez dachu o 3-metrowych ścianach śnieżnych /np. szosa na Mławę/.

W Boże Narodzenie 1944 już głośno mówiło się, że niedługo będzie koniec udręki. Wszyscy oczekiwali wolności.

Na 3 dni przed wyzwoleniem Sierpca, które miało miejsce w sobotę 20 stycznia 1945 r., w mieście panował niezwykły ruch. Ulicą Płocką, przez Stary Rynek i ul. Kilińskiego ciągnęły tabory - wozy zaprzężone w konie /zwano ich "ciubarykami"/. Nikt nie poszedł już do pracy. Wszyscy oczekiwali zmian.

20 stycznia 1945 r. około godz. 9 wyszłam na próg domu, żeby spojrzeć, co się dzieje na ulicy.

Obok mnie stanął mój kolega, brat partyzanta. Słychać było jakieś dalekie dudnienie. Patrzyliśmy, jak na stojące przed posterunkiem auto, żandarmerii w pośpiechu pakowali jakieś paczki i walizki. Mój kolega Kazik wyjął organki i zaczął grać: "Jeszcze Polska nie zginęła..." Niewesoły byłby finał, gdyby matka chłopaka nie wciągnęła nas do mieszkania. Kiedy po 15 minutach znów wyskoczyliśmy na ulicę, samochodu już nie było, a na posterunku grasowali odważniejsi obywatele z sąsiedniego domu, ciągnąc przez ulicę pianino. Huki były coraz bliższe i kiedy z dachu na sąsiednim domu posypały się dachówki, wyszliśmy z mieszkań i stanęliśmy pod ścianą naszego domu. Kiedy zaczęły spadać na nas dachówki, pobiegliśmy do okopów, które znajdowały się w ogrodzie Lejego /przy "Kasztelance"/. Byliśmy tu wszyscy z całej ulicy. Spakowane bagaże pozostały w mieszkaniach. Wybuchy były coraz bliższe i groźniejsze. Naraz ogłuszający huk, wstrząs i grudki spadającej ziemi wcisnęły wszystkich w dno okopu. Matka przycisnęła mi głowę do samej ziemi, mojemu bratu na szyję spadł mały odłamek żelaza. Kiedy nieco ucichło, wszyscy wyjrżeli z okopu. Obok nas były 3 wielkie leje po bombach, zrzuconych z niemieckich samolotów. Nie pozwolono mi ich obejrzeć. Ponieważ detonacje od strony Warszawy były coraz bliższe, nie wychodziliśmy z okopów. Naraz ktoś krzyknął: "Ruski okładają się z Niemcami"! Zerwaliśmy się i patrzyliśmy jak na film, gdzie żołnierze radzieccy z niemieckimi okładali się kolbami karabinów na lodowni przy ul. Górnej. Nie zauważyliśmy nawet, że na nasze podwórze wbiegli Rosjanie i dopiero na pytanie: "Kto wy?" - odwróciliśmy głowy. Mogła być godz. 11. Teraz już nikt nie zwracał uwagi na dudnienie. Wszyscy rzucili się do ulicy, a ul. Kilińskiego jechały czołgi radzieckie. Nie zatrzymując się pytali o szosę na Mławę.

Było południe. Weszliśmy do domu. Na ulicy też przycichło. Żołnierze zatrzymali się, zajmując kwatery w mieszkaniach od ulicy. Pobiegłam z sąsiadką zobaczyć jak wyglądał posterunek żandarmerii naprzeciwko. Nagle nastąpił huk, rzuciłam się biegiem na drugą stronę ulicy do domu, a nad głową coś mi zaświstało. Kiedy po chwili wyjrzałam z korytarza, zobaczyłam, że nie ma kuźni na początku ulicy Kilińskiego. Zrozumiałam, że pocisk ją roztrzaskał, kiedy przebiegałam.

Potem znowu było jak na filmie. Około godz. 13 nadleciały niemieckie samoloty. Żona partyzanta orzekła, że teraz pewnie zacznie się bój, więc należy uciekać. I uciekliśmy razem - 4 kobiety i 5 dzieci, w tym jedno dwumiesięczne niesione w poduszce. Najpierw biegliśmy polem Lejego do Dąbrówek. Co chwila rzucaliśmy się w bruzdę lub okop, bo samolot siekał z karabinu maszynowego. Kiedy zobaczyliśmy pod Dąbrówkami 10 czołgów z lufami skierowanymi ku miastu, skręciliśmy do Borkowa Wielkiego. Ściemniało się, kiedy dotarliśmy do pierwszej chałupy. Właściciele siedzieli w pokoju, a w kuchni na podłodze leżeli pokotem zdrożeni żołnierze. W ką-

ciku przeczekaliśmy noc, a rano moja matka i moja bratowa wrócili do miasta. Po mnie przyszedł brat. Była niedziela 21 stycznia 1945 r. godz. 10. Na śniegu leżały poszarpane jakieś żołnierskie zwłoki. Odwracałam głowę, ze ściśniętym gardłem i szeroko rozwartymi oczami wpatrywałam się w dymy nad miastem. Dymyły mury zabudowań klasztornych. Niemcy uciekając zabili 42 uwięzionych, strzelając im w tył głowy. Zwęglone zwłoki leżały w kilku szeregach, galki oczne wypłynęły. Zginęli 19 stycznia 1945 r. w przeddzień wyzwolenia. Nasza sąsiadka poznała syna Władysława Ablewskiego, lat 21, tylko po butach. Siedział tam zaledwie kilka dni. Dalej leżała sterta zabitych niemieckich uciekinierów. Rzucał się w oczy nagi trup kobiety z dzieckiem przy piersi. Ale wówczas nikt nie miał litości dla ciemiężców, zbyt wiele nagromadziło się krzywd.

Wielką żałobną manifestacją był pogrzeb zbiorowy. Całe miasto uczestniczyło w tym obrzędzie. 42 niemalowane trumny niesione były w długim kondukcie na cmentarz. Plakali wszyscy.

Miasto nie uległo większemu zniszczeniu. Z domu p. Trzaskowskich spadły dachówki /róg ulic Kilińskiego i Reymonta/. Uległy częściowemu zniszczeniu 2 ponemieckie bloki /przy obecnej ul. AK/- dziś internat Technikum Mechanicznego i przedszkole nr 2. Pocisk uszkodził zegar na szkole nr 1 od strony północnej. Zrujnowane zostały pojedyncze domy w różnych punktach miasta. Spalony został budynek przedwojennej szkoły nr 2 przy ul. Piastowskiej.

Zwłoki żołnierzy radzieckich najpierw pochowano w 2 pieczarach na skwerze przed dzisiejszą pocztą, potem przeniesiono na cmentarz.

Polaków, którzy zgineli w 1939r. pochowano przy cmentarzu w rozwidleniu szos - rypińskiej i lipnowskiej. Tu także przeniesiono zwłoki z "Glinek".

Wojna jeszcze się toczyła, ale w mieście wszystko powracało do normy. Wracali ludzie z wysiedlenia. W mieście osiedlali się nowi mieszkańcy, najczęściej z okolicznych wsi. Powstała nowa władza. Przeciwny Polak cieszył się z uzyskanej wolności. O kształcie państwa decydowali politycy i zwycięzcy.

Na przełomie lutego i marca ruszyła szkoła, na razie tylko jedna w budynku dawnej szkoły żydowskiej przy ul. Stodólnej /obecnie Narutowicza/. W niedługim czasie część nas przeszła do szkoły nr 1. Ruszyło gimnazjum. Zorganizowano też szkołę wieczorową w "jedynce" dla dorosłych, a dla przeobrażonej młodzieży Średnią Szkołę Zawodową przy obecnej ul. Świerczewskiego /dziś internat ul. AK/. Dla opóźnionych przez wojnę dzieci organizowano klasy semestralne /np. V i VI/ w ciągu jednego roku.

Nauczyciele wracali z ukrycia, z obozów koncentracyjnych, z oflagów i stawali do pracy, nie pytając o wynagrodzenie, a było nim na początku z paczek amerykańskich UNRA proskowe mleko, kokosowe masło itp.

W szkole nr 1 rozpoczęli pracę: Kierownik - p. Bolesław Tuziński, p. Stanisław Kopyro, p. Irena Kulaszewska, p. Lisowski, p. Kazimierz Wierzbicki, p. Stanisława Laudenska, p. Jadwiga i Franciszek Kołodziejscy, p. Maria i M. Kornalewscy, p. Anna i Maksymilian Switalscy, p. Władysław Piórkowski, p. Maria Smulska, p. Helena Żuchniewiczowa, p. Maria Wessnerowa, p. Henryk Rudowski i inni.

Na czele szkoły nr 2 stanął p. Stanisław Kuciński, Radę pedagogiczną stanowili: p. Zenobia Kucińska, p. Zygmunt Kubiński, p. Irena Krasieńska, p. Wiktoria Michalska, p. Zofia Jabłońska i inni.

Pierwszy rok szkolny zakończył się 9 lipca 1945r.

I tak zaczynał się nowy rozdział w historii Sierpca i kraju.